

Na początku myślałem, że to są hamburgery. Tylko kolor się nie zgadzał. Kotlety rybne? Ugryzłem i to był wielki błąd. Rodzice patrzyli na mnie. Odezwała się matka:

- Penn, nie powiedziałaś swojemu koledze?

Webb wpatrywał się w matkę. Oczy wychodziły mu z orbit i miał coraz bardziej zmartwioną minę.

- Ojejku... Chyba zapomniałem.

- Zapomniałeś o czym? - zapytałem.

- Chyba nie całkiem zapomniałeś, prawda, synu? - odezwał się ojciec.

Webb wyglądał na zawstydzonego:

- Chyba nie.

A ja chyba zaczynałem być trochę zmęczony tą mową-trawą. Zwróciłem się wprost do Webba:

- O czym ja się powinienem dowiedzieć?

Webb przeniósł wzrok na mnie.

- Miałem ci powiedzieć, że jesteśmy wegetarianami.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa.

- A co to znaczy? - zapytałem. Zaczynałem się zastanawiać, czy ci ludzie nie są przypadkiem zmutowanymi pomidorami ninja albo czymś w tym rodzaju.

- Nie jemy mięsa - powiedział Webb.

- A ty mu o tym nie wspomniałeś - mówił ojciec - bo bałeś się, że jak się dowie, to może nie będzie chciał przyjść na obiad.

Webb pokiwał głową na tak i wsadził nos w talerz.

Wciąż nie byłem pewien, czy dobrze go usłyszałem.

- To znaczy, że nie jecie hot dogów?

Wszyscy troje odpowiedzieli:

- Nie jemy.

- Hamburgerów?

- Nie jemy.

- Kurczaków? Indyka? Kotletów?

- Nie jemy.

Ojciec oparł łokcie na stole, złożył dłonie i uśmiechnął się do mnie.

- Kraksa, nam się po prostu zdaje, że zwierzęta są boskimi stworzeniami i my nie powinniśmy... hm... nie powinniśmy ich zjadać.

Ciągle miałem w ustach pierwszy kawałek tego, co było na talerzu. Doszedłem do wniosku, że cokolwiek to było, nie zostało stworzone przez Boga. Pokazałem palcem na talerz.

- Czyli co to jest?

- Kotlet owsiany - zaszczębiotała radośnie matka.

- Patrz - powiedział Webb i polał to syropem do naleśników. - Są pyszne z syropem.

Ojciec starał się powstrzymać od śmiechu.

- Pomogę temu chłopcu wybrnąć z kłopotów. - Wstał od stołu i wrócił za chwilę z koszem na śmieci. - Wrzuć to tutaj, Kraksa.

Pochyliłem się, otworzyłem usta i pozwoliłem pogryzionemu kotletowi owsianemu spaść do kosza. Ojciec wyniósł kosz.

Na moim talerzu pozostały oblane syropem pataty, fasolka szparagowa oraz coś, czego nie rozpoznawałem: małe, brązowe grudki. Pani Webb zauważyła, że im się przyglądam.

- To panierowane grzyby - powiedziała. - Spróbuj.

Spróbowałem jednego. Był pyszny.

- Jak ci smakuje? - zapytała.

Wzruszyłem ramionami:

- Jest w porządku.

Webb zaczął nadawać:

- John ma prapradziadka. On ma sto piętnaście lat!

Wylądowały na mnie spojrzenia czworga dorosłych, rozszerzonych oczu. Musiałem bardzo szybko coś wymyślić.

- I potrafię dawać nura do wody! Chcecie zobaczyć?

Nie czekałem na odpowiedź. Szybko zeskoczyłem z krzesła i pobiegłem za sofę. Dałem nurka przez oparcie, lądując głową i rękami na poduszkach. Odepchnąłem się, przerzuciłem stopy i wylądowałem na podłodze, wyrzucając ramiona w górę.

- A nie mówiłem!

Zaczęli klaskać.

Znowu zajęliśmy się jedzeniem. Napychałem się patatami i grzybami. Webb bez przerwy podsuwał mi syrop i opowiadał, ile tracę, nie jedząc kotletów owsianych. Żeby się zamknął, powiedziałem:

- Czy wiecie państwo, że wasz syn jest kwakrem?

Rodzice popatrzyli na siebie, potem na dzieciaka, potem znowu na mnie, a potem wybuchnęli śmiechem.

- Tak - powiedział ojciec. - Wiedzieliśmy o tym. W zasadzie pani Webb i ja także jesteśmy kwakrami.

- Aha - powiedziałem. - Czy to znaczy, że wy też nie wierzycie w wojnę?

- Obawiam się, że tak - odpowiedział.

- To bardzo źle - zacząłem im tłumaczyć. - Waszego syna omija mnóstwo fantastycznych rzeczy. Przede wszystkim na Gwiazdkę. Mniej więcej połowa moich prezentów to są zawsze zabawki wojenne. W zeszłym roku dostałem G.I. Joe. Ale była zabawa! - Zaczynało mnie wciągać to opowiadanie. - Albo moja mazooka! To połączenie bazooki i karabinu maszynowego. Najpierw likwiduje się całą piechotę za pomocą karabinu maszynowego, a potem można ruszyć w pościg za czołgami. Taki pocisk przebija pancerz i podpala czołg. A czołgiści w środku smażą się jak karmelki. Oparłem się wygodnie i czekałem, aż to wszystko do nich dotrze i zrozumieją, co ich omija. Po chwili ojciec uśmiechnął się i powiedział:

- Rozumiem.

Na chwilę wszyscy zajęli się wyłącznie przeżuwaniami.

- Mój dziadek ma na imię Skuter - powiedziałem.

- To ciekawe - odezwała się matka.

- No, tak - wepchnąłem sobie do buzi następnego grzyba. - Więc - kontynuowałem - chciałem zapytać, czy wy jesteście biedni?

Rodzice znowu zaczęli się śmiać. Nigdy przedtem nie myślałem, że jestem taki zabawny.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego mówią na ciebie Kraksa - powiedział ojciec. Nie wiedziałem, co to miało znaczyć. A on mówił dalej:

- Jeżeli chodzi o twoje pytanie, to nie, nie powiedziałbym, że jesteśmy biedni. A ty myślisz, że jesteśmy?

- Tak mi się wydaje - odpowiedziałem. - Pana dziecko prawie nie ma zabawek, a w waszym domu jest tylko parter. - Postanowiłem być miły i nie mówić, że ich dom wygląda jak garaż.

Uśmiechy nie schodziły im z twarzy.

- Nie - powiedział ojciec. - Wcale nie jesteśmy biedni. Właściwie to powiedziałbym, że w pewnym sensie jesteśmy bogaci.

Może udało im się mnie nabrać, pomyślałem. Może za domem mają limuzynę?

Zjadłem jeszcze kilka panierowanych grzybów, rozglądając się po pokoju. Potem wstałem od stołu. Od samego początku coś mi nie dawało spokoju i teraz już wiedziałem, co to jest. Najpierw sprawdziłem w kuchni. Potem zajrzałem jeszcze raz do dzieciennego pokoju. Sprawdziłem każde pomieszczenie w całym domu, a potem wróciłem do stołu. Wszyscy przyglądali mi się z zainteresowaniem. Ja też nie mogłem oderwać od nich oczu:

- Gdzie jest telewizor?

- Nie mamy telewizora.

To powiedział dzieciak. Wlepiłem w niego oczy:

- Co?

Powiedział to jeszcze raz:

- Nie mamy telewizora.

- Nabierasz mnie.

Pokiwał głową, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami:

- Nie nabieram. Serio.

- To co wy robicie w sobotę przed południem?

- Ja się bawię. I czytam książki.

- I odwiedzamy różne miejsca - dodał ojciec.

- Nie możemy się doczekać, kiedy poznamy okolicę - powiedziała matka. - Tu wszystko jest nowe dla nas, susłów z Dakoty Północnej.

- Kraksa - zwrócił się do mnie ojciec - zastanawialiśmy się, czy w najbliższą sobotę nie pojechać do osady amiszów. To chyba nie jest daleko stąd. Może zabrałbyś się z nami?

- Tak, hura!!! - zapiszczał Webb.

- Będę oglądać kreskówki - powiedziałem.

- Możemy poczekać, aż się skończą.

- Nie-e. Tata zabiera mnie na mecz Phillies.

- No to może innym razem - zrezygnował.

No to może nigdy, pomyślałem.

Na deser były prostokątne pierniki z ciepłą cytrynową polewą. Zjadłem sześć i wyniosłem się stamtąd.

7

Tamtego wieczoru zapytałem mamę, jak się pisze niektóre słowa i zostawiłem na swoich drzwiach kartkę, na której była prośba do taty, żeby mnie obudził, zanim położę się spać.

Nie zauważyłem, kiedy wszedł do pokoju, od razu usłyszałem jego głos:

- Co jest, szefie? - zapytał.

Usiadłem na łóżku.

- Tato, możemy w sobotę iść razem na mecz Phillies?

Cisza, jaka nastąpiła po moim pytaniu, była dla mnie odpowiedzią. W ciemności nie widziałem jego twarzy, ale i tak wiedziałem, jak wyglądała: była trochę smutna i trochę wykrzywiona, jakby go coś bolało. Już wiedziałem, że nastąpi jedno z trzech wyjaśnień:

1. Jest właśnie w trakcie rozkręcania własnej firmy i pracuje siedemdziesiąt godzin tygodniowo, żeby to wszystko ruszyło.

2. On i mama już coś zaplanowali na to popołudnie.

3. Jest tak śmiertelnie zmęczony pracą przez siedemdziesiąt godzin w tygodniu, że nie ma nawet siły wysmarkać nosa, a co tu dopiero mówić o wychodzeniu z domu.

Tym razem podał wyjaśnienie numer 1.

- Sorry, Krakso nad Kraksam - powiedział, kładąc mnie z powrotem na poduszce. - Na pewno dotrzemy na stadion piłkarski przed końcem sezonu. A teraz dobranoc.

- Dobranoc, tato.

W sobotę przed południem jak zwykle oglądałem kreskówki. Co jakiś czas wyglądałem przez okno na ulicę. W samym środku Królika Bugsa zobaczyłem ich, jak przejeżdżali. To nie była limuzyna, ani nawet pół limuzyny. Jechali jakimś gruchotem. Jakimś głupkochodem. Bogaci, też mi coś!

Po południu skakałem po kanałach telewizora. Trafiłem na mecz Phillies, ale wyłączyłem telewizor i poszedłem zajrzeć do lodówki. Poprzedniego dnia jedliśmy spaghetti z klopsami. Wziąłem jednego klopsa, włożyłem do woreczka i pobiegłem ulicą. Kiedy dotarłem na miejsce, odpakowałem klopsa i zostawiłem go na samym środku schodów wejściowych do ich domu.

8

I to by właściwie było na tyle. Nigdy nie zapoznałem się bliżej z Webbami. Nie dlatego, że przestali zapraszać mnie na obiady. Robili to. Chyba nie domyślili się, że to ja podłożyłem im tego klopsa. Webb mówił nawet, że zrobią specjalnie dla mnie kotlety z prawdziwego mięsa albo że mogą przynieść własne.

Nie przestali też mnie zapraszać, żebym jeździł z nimi w różne miejsca. Ale ja tylko odpowiadałem „nie” na wszystko albo mówiłem, że tata zabiera mnie na mecz czy gdzieś indziej.

Mniej więcej w trzeciej klasie w końcu przestali mnie zadrezczać, więc ja mogłem przestać zadrezczać swojego tatę.

W miarę upływu lat Webb odnajdywał inne osobniki swojego gatunku: jakiś głupek tu, jakiś czubek gdzie indziej.

Dawał im swoje znaczki. Mi też chciał je dawać, ale w końcu zrezygnował.

Wzdrygałem się, przechodząc czasem obok garażowego domu: żadnych zabawek, żadnego telewizora, żadnego mięsa. To sprawiało, że doceniałem niektóre rzeczy. Czasem wracałem do domu, patrzyłem na to wszystko, co mam, i mówiłem sobie: Dzięki, że nie muszę się trzymać z takimi jak oni.

Kiedy przeszliśmy do gimnazjum, nie byliśmy już przez cały dzień w tej samej klasie. Właściwie się nie spotykaliśmy, tylko on wołał do mnie i machał mi, kiedy widział mnie na ulicy albo na korytarzu.

Potem, dwa tygodnie po rozpoczęciu szóstej klasy, do domu naprzeciwko nas wprowadził się Mike Deluca. Mike nie nosił żadnego znaczka - i to był pierwszy dobry znak.

- Nie jesteś z Dakoty Północnej, co? - zapytałem.

A on zrobił straszną minę i powiedział:

- A jak jestem, to co? Masz z tym jakiś problem?

Zrobiłem krok w jego stronę. Staliśmy nos w nos.

- Może i mam - odpowiedziałem i postukałem go palcem w czoło.

On też mnie postukał.

Popchnąłem go.

On też mnie popchnął.

Walnąłem go pięścią w ramię.

Oddał mi.

Wtedy, dokładnie w tej samej chwili, zupełnie jakby jakiś dyrygent machnął pałeczką, obaj zaczęliśmy się śmiać. Jęczeliśmy i wyliśmy ze śmiechu, tarzaliśmy się w trawie. Jeszcze nie znam imienia tego koleś, a już wiedziałem, że będziemy najlepszymi kumplami.

Powiedział, że pochodzi z Pitsburga, więc był z Pensylwanii, tak samo jak ja. I chciał być zawodowym futbolistą, tak samo jak ja. Dowiedziałem się tego wszystkiego i dużo więcej w ciągu pięciu minut. Po dziesięciu minutach siłowaliśmy się w trawie. Po piętnastu zrobiliśmy najazd na moją lodówkę.

Trochę później, wyglądając przez okno, zobaczyliśmy przechodzącego Webba. Ciągnął za sobą swój wóz osadników.

- W środku jest żółw - powiedziałem do Mike'a.

- Co jest? - zdziwił się Mike.

- Powiedziałem ci, żółw. On trzyma żółwia w domu i zabiera go na przejażdżki w tym wozie. Robi to prawie codziennie od pierwszej klasy.

Deluca nie powiedział ani słowa. Odsunął zasłonę i przyglądał się Webbowi idącemu w naszą stronę z takim wyrazem twarzy, jakby zobaczył wielkanocnego króliczka z trojgiem uszu. W końcu odwrócił się do mnie i zapytał:

- W której on jest klasie?

- W szóstej - odpowiedziałem. - W tej, co my.

Na twarzy Mike'a pojawił się szeroki uśmiech, a w oczach zapaliły się iskierki.

Opowiedziałem mu, jak poznałem Webba. Opowiedziałem o wszystkim: od znaczków aż po kotlety z owsa.

Opowiedziałem też o tym, co zrobiłem Webbowi, aż do tamtej chwili.

- Ale już przestałem zwracać sobie nim głowę - zakończyłem.

Mike jeszcze raz wyrzucił przez okno. Czułem się, jakbym patrzył na kota, który patrzy na wiewiórkę.

- No, dobra - oświadczył. - To się musi zmienić.

9

TERAZ

8 WRZEŚNIA

Dzisiaj był pierwszy dzień szkoły. Siódma klasa. Wszyscy zjawili się piętnaście minut przed dzwonkiem.

Byliśmy wcześniej dlatego, że pierwszy dzień jest zawsze emocjonujący. Ale najbardziej chodziło o to, żeby się wszystkim przyjrzeć. Sprawdzić, jak wyglądają po wakacjach. Prawie każdy wygląda inaczej, przynajmniej trochę się zmienił. I nie tylko inaczej, ale inaczej-lepiej.

Na przykład opalenizna z basenów, z plaż i tak dalej. Na przykład ktoś miał ciemne włosy, a teraz ma jasne; albo ktoś jest wyższy. Ale przede wszystkim liczy się to, co kto ma na sobie.

Powiedziałbym, że jedna czwarta to sprawdzanie, jakie ciuchy mają inne dzieciaki, a trzy czwarte to pokazywanie własnych. Nowe adidasy, nowe metki. Rozmowy o cenach. Na przykład:

- Hej, koleś, zobacz to!

- Taniocha, koleś! Patrz tam.

No więc staliśmy sobie, porównując ceny, a Mike mówi:

- Patrz!

Popatrzyłem.

- Gdzie?

Pokazał:

- Tam!

Powiodłem wzrokiem za jego palcem. Potem pokiwałem głową, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Nie wierzę!

Mike się zaśmiał:

- Któż by inny? Ale numer! Ja wierzę.

Zaśmialiśmy się obaj.

To był Webb. To znaczy, to był dokładnie taki sam, stary Webb. Te same tenisówki z supermarketu, te same prehistoryczne spodnie, pewnie po tym jego pradziadku. To samo mizerne ciało wyhodowane na owsianych kotletach. Tylko znaczek się zmienił. Dzisiaj na znaczku było napisane „Uśmiechnij się”.

- Ojej... - zajączałem cicho. - Nadchodzi.

Mike natychmiast zaczął popisy w swoim stylu, czyli zachowywał się tak, jakby Webb był facetem w porządku albo przynajmniej był normalny. Uśmiech od ucha do ucha i zasawa:

- Heja, Webberoni! Co tam słyhać, koleś? - Podniósł dłoń do góry, a Webb przybił na niej górną piątkę. Potem

przybili średnie piątki i dolne piątki oraz piątki za plecami i pomiędzy kolanami. Potem Mike przerobił z nim uściski dłoni. Były pętle i haczyki oraz wykręcanie palców we wszystkie możliwe strony i trwało to chyba z pięć minut. Przez cały ten czas Mike dbał o szczery i luzacki wyraz twarzy, więc robiłem to samo, chociaż o mało nie umarłem ze śmiechu. Oczywiście Webb, który nie odróżnia, kiedy ktoś widzi luzaka, a kiedy głuptaka, bez przerwy chichotał. W końcu Mike cofnął się o krok, zmierzył Webba z góry na dół i zasuwa:

- No dobra, Spider, klasa wyglądasz. - Wziął w dwa palce rękaw prehistorycznej koszulki Webba i potarł materiał, niby sprawdzając jakość. Potem poważnie pokiwał głową:
- Heja, dobry gatunek. Gdzie zarwałeś taką koszulkę?

Webb spojrział w dół na swoją koszulkę, jakby ją widział pierwszy raz w życiu.

- Nie wiem - odpowiedział. - Przeważnie mama kupuje mi ubrania.
- Może takie z Ciucholandu? - zapytał Mike.

Webb przytaknął:

- Może.

Mike i ja eksplodowaliśmy jednocześnie. Odwróciliśmy się, udając, że to nagły, wspólny atak kaszlu. Ciucholand to, wiadomo, sklep dla oszczędnych. Innymi słowy: używane ubrania. Mike i ja prędzej przyslibyśmy do szkoły w samej bieliznie niż w czymś z Ciucholandu.

Potem już nie odwróciliśmy się z powrotem do Webba, ponieważ nasze spojrzenia wylądowały na kimś innym. Popatrzyliśmy na nią, popatrzyliśmy na siebie i obaj powiedzieliśmy dokładnie to samo: Kim ona jest?

10

Stała zupełnie sama. Przeszliśmy kawałek w jej stronę, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

- Nauczycielka? - zapytałem.

- Nie-e.

- Zgubiła się? Myśli, że to liceum?

- Nie-e. Będzie chodziła do nas.

Trudno było w to uwierzyć, ale nie było to niemożliwe. Co jakiś czas zdarza się, że któraś dziewczyna wraca z wakacji i nie jest tylko trochę inna - trochę lepsza - ale jest, jakby to powiedzieć... „Fiu, fiu!”.

Jest taka jedna dziewczyna, teraz już w college'u, o której u nas ciągle krąży legenda. Pierwszego dnia w szkole jej wychowawca nie chciał uwierzyć, że to ona. Posłano ją do gabinetu dyrektora. Dyrektor, sekretarka, pielęgniarka ani woźny - nikt jej nie uwierzył. Nie miała przy sobie żadnego dokumentu, więc nie mogła iść do klasy, dopóki jej matka nie przyniosła świadectwa urodzenia, żeby udowodnić, że to ona.

No i staliśmy tam, przypominając sobie dziewczyny z poprzedniego roku i próbując sobie wyobrazić, jak by wyglądały, gdyby zmieniły się tak, że fiu, fiu!

Mike rzucił:

- Andrea Tarpley?

- W życiu nie - odpowiedziałem. - Ona w ogóle nie wygląda jak Andrea.

Walnął mnie w ramię:

- Właśnie o to chodzi. Jeżeli to rzeczywiście jest Andrea, to już nigdy nie będzie wyglądać jak Andrea.

Przyjrzałem się jej uważniej.

- Niemożliwe.

Przypominaliśmy sobie inne nazwiska:

- Rita Mazelli?

- Julie Stein?

- Michelle Pratt?

- Czekaj! - zawołałem. - Zwinąłem dłonie w trąbkę i popatrzyłem przez nie jak przez teleskop. - To jest Michelle.

Mike zrobił sobie własny teleskop.

- Nie sądzę. Zobacz, stoi całkiem sama. Gdyby to była Michelle, to byłaby z przyjaciółkami.

- Nawet jej przyjaciółki nie mają pojęcia, że to ona - powiedziałem. - Podchodzę.

- Podchodzisz? I co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Powiem cześć.

Wystartowałem. Mike ruszył moim śladem, szepcząc:

- Ale ty się nie interesujesz dziewczynami.

- Właśnie się zainteresowałem.

Kiedy się zbliżałem, stała bokiem do mnie i patrzyła przed siebie. Była śliczna. Podeszedłem prosto do niej i zrobiłem ten pierwszy krok w swoim życiu. Postukałem ją po ramieniu i powiedziałem:

- Cześć, Michelle.

Odrzuciła się. Uśmiechała się i patrzyła prosto na mnie. Była boginią.

- Nie jestem Michelle - powiedziała i odeszła.

Na chwilę mnie zamurowało. Potem poszedłem za nią i jeszcze raz postukałem ją w ramię.

- Jesteś pewna?

Odrzuciła się. Uśmiechnęła się w taki sam sposób.

- Jestem pewna - powiedziała i poszła dalej.

Zadzwoił dzwonek. Drzwi się otworzyły. Stado ruszyło. Mike za moimi plecami cały czas krztusił się ze śmiechu.

n n n n n

Spędziłem resztę dnia na przyglądaniu się tej dziewczynie. Tak samo jak setka innych koleś.

Miała rację, nie nazywała się Michelle Pratt. Nazywała się Jane Forbes. Przeprowadziła się tutaj z Wilmington. Chodzi do siódmej klasy.

Jadłem lunch z Mikiem. Zobaczyliśmy ją w kolejce po sałatki. Najwyraźniej ciągle była sama.

- Myślisz, że zgłosi się na cheerleaderkę? - zapytał Mike.

Przed południem dyrektor ogłosił zapisy do drużyny futbolu, do cheerleaderek i na inne zajęcia.

- Jeżeli sama się nie zgłosi, to ją poproszą - powiedziałem.

- Ty to masz szczęście - powiedział Mike. - Biegasz z piłką, a ja jestem od czarnej roboty. Ona mnie nawet nie zauważy.

Mike jest linemanem, gra w linii z innymi zawodnikami. Ja, jako fullback, na stałej pozycji. Kiedy on leży przywalony stertą ciał, ja przebiegam przez linię bramki. W zeszłym roku musiałem siedzieć na ławce rezerwowych z innymi szóstoklasistami. W tym roku już nic mnie nie dzieli od pierwszej grupy. A może nawet od nagłówek gazet.

- Musisz się z tym pogodzić - powiedziałem. - Będzie mówiła tak - zapiszczałem cienko jak dziewczyna: - „O! To Kraksa Coogan! Zdobywa kolejne przyłożenie! Słowo daję, zakochuję się w tym chłopaku. On tak dobrze gra i jest taki przystojny. Całkiem inny niż ten brzydki, krzywonośny Mike Deluca!”.

Mike trzepnął mnie bananem, który wziął ze swojej tacy.

Wyciągnąłem parówkę z jego hot doga i posmyrałem go po nosie.

On schwycił parówkę z mojego i wycelował nią w moją głowę.

Dzieciaki wokół nas miały coraz lepszy ubaw.

Zacisnąłem rękę w pięść i rozgniotłem na miazgę jego bułkę od hot doga.

On zaatakował moją ciosem karate.

Przewróciłem do góry nogami budyń czekoladowy na jego tacy.

On zrobił mi to samo.

Teraz już panował wokół nas straszny rwetes. Mike i ja zaczęliśmy się śmiać. Jak do tej pory pojedynek był nierozstrzygnięty. Nie było mowy, żebym przestał. Nigdy w całym swoim życiu nie znalazłem się na pozycji numer dwa. Nie znosiłem przegranych. No i nigdy nie przegrywałem. Zgodnie z tym, co jest napisane na jednej z moich koszulek: ZAWSZE STAWIAM NA SWOIM.

Problem w tym, że Deluca jest dokładnie taki sam.

Wziąłem trochę sałatki ziemniaczanej i rzuciłem mu w twarz.

On zanurzył słomkę w mleku, zacisnął na niej palce, zassał, skierował słomkę w moją stronę i puścił. Dostałem mleczny prysznic.

Dzieciaki wkoło wpadły w szał.

Zamrugąłem. Uśmiechnąłem się. Pokiwałem głową. Wyciągnąłem słomkę ze swojego mleka. Pociągnąłem duży łyk z kartonu. Wypłułem mu mleko w twarz.

Podwójny aplauz!

Wziąłem na łyżkę trochę budyń czekoladowego i kiedy szykowałem się, żeby go wystrzelić, poczułem na ramieniu czyjaś dłoń. Jakiś głupi dzieciak, pomyślałem i wycelowałem w nią budyń. Dokładnie w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że ta dłoń, jak na dłoń dzieciaka, jest strasznie duża. Popatrzyłem w górę. To był nauczyciel.